Rok I. Lwów, piątek 26. lipca 1907. Nr. 157.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOROWIE: ST. TOKARSKI i ST. BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE:		NA PROWINCYI:	
miesięcznie	50 h	mies. z przes. poczt.	1 K
„ z dostawą do domu	1 K	kwartalnie	3 K
numer pojedynczy	2 h	numer pojedynczy	4 h

NR. TELEFONU REDAKCYI: 982. NR. TELEFONU ADMINISTRACYI: 977.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. Redakcya: Lwów, Podwale 7. Administr.: Lwów, Krzywa 6. Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenia 40 h.

Co dzień niesie?

Niema co gadać: draby są, łapigrosze i marni ujadacze, ci rycerze z pod czerwonego sztandaru. Dziś właśnie doniosły telegramy, że socyaliści rozwinęli szaloną agitacyę za tem, aby sesyi parlamentarnej rząd niezamykał, tylko ją odroczył, bo w ten sposób i podczas wakacyi posłowie pobieraliby dyety.

Polityka, budżet, oszczędności — to w ustach tych panów frazesy, a łapownictwo i groszoróbstwo jest ich jedynym i rzetelnym czynem. Jak długo parlament austryacki egzystuje, żadna jeszcze partya nie poniżała się do takiej żebraniny u rządu na jaką puścili się socyaliści. I gdybyż to żebrali o coś, co dla państwa, dla kraju z pożytkiem byłoby połączone. Oni miaukają o ordynarnego całkiem kubana — o to, aby rząd każdemu z nich dał na letni wypoczynek po 1200 koron.

W ten sposób ferye parlamentarne kosztowałyby nas prawie milion koron. Niechby w parlamencie nie było socyalistów, którzy tym rządowym ochłapem tuczyć się będą, to Diamand we Lwowie a Daszyński w Krakowie zwołaliby zgromadzenie ludowe z porządkiem dziennym: Marnotrawstwo grosza publicznego — korrupcya parlamentarna — lub coś podobnego. Ale teraz u tego milionowego żłobu stanęli socyaliści z dyszącemi z chciwości pyskami. Więc tego rodzaju decyzyi rządu nietylko nie potępiają, ale przeciwnie, gonią po wszystkich przedpokojach ministeryalnych i błagają rząd, aby nienastąpiło odroczenie sesyi, tylko przerwa w obradach.

I dobrze rząd zrobi, jeśli da te wakacyjne dyety. Wtedy panowie towarzysze rozjadą się do wód, nad morze, na letnie mieszkania — i będzie spokój w kraju. A odmówi im rząd tego kubana, to radzi nieradzi powrócą tam, gdzie zdobyli mandaty, będą zwoływać zgromadzenia, szczekać na cały świat Boży, i miaukać przytem o grosz robotniczy na różne fundusze, których ostatecznem przeznaczeniem jest, utonąć w dziurawych kieszeniach panów pułkowników i oficerów czerwonej armii zbawienia.

Albo i taki fakt: Koło polskie z okazyi rozjazdu na wakacye urządziło wieczorek pożegnalny, na którem toastowano i omawiano sprawy parlamentarne. Wskutek tego obie szmaty socyalistyczne, lwowska i krakowska, napadają na Koło, wyrzucają mu pijatykę i drwią ze wszystkiego, co na tym wieczorku mówiono.

A przecież niech przypomną sobie łajdacy, co oni wyprawiali gdy Hudec, Diamand i Breiter złapali mandaty do parlamentu. Najpierw żarli i szampanizowali w Bristolu, potem poszli na szampana do kawiarni Grand, skąd dobrze pijani udali się do kawiarni Kryształowej, gdzie urżnęli się jak wieprze i wyprawiali skandaliczne awantury, tłukąc szampanówki i maltretując po pijanemu obecnych tam gości.

Im wolno — nie skromny wieczorek, ale orgię urządzać. Członkowie Koła polskiego, żegnający się ze sobą, a z pewnością nie pijani — są dla socyalistów przedmiotem oburzenia, szczucia, drwin i pośmiewiska.

Nieraz, gdy się dobrze nad tem wszystkiem zastanowię, to mam ochotę pióro w kąt cisnąć, a złapać za kij i ta-

Na wakacye!



kim argumentem rozprawiać się z tą bezczelną mafią. Prawda ich nie przekona, uczciwość nie wzruszy i nie przemówi im do sumienia. Jedynym środkiem rozprawy z takimi bandytami jest kij — i daj Boże, aby ogłupiani i oszukiwani przez nich robotnicy jak najprędzej tym twardym i sękatym językiem do nich przemówili!

U nas i na świecie.

Rusini, którzy tak wiele obiecywali sobie po nowym parlamencie, występami swymi

skompromitowali się,

i to tak gruntownie, że lata całe muszą nad naprawą swej reputacyi pracować. Już ich pierwsze wystąpienie przeciw wiceprezydentowi Izby p. Starzyńskiemu, obudziło niesmak między wszystkimi posłami. Debatą o wyborach galicyjskich chcieli nas zniszczyć, tymczasem bez żadnego skutku wystrzępili sobie i tak słabe bardzo języki. Widząc, że nieumieją gadać, poczęli śpiewać, wobec czego posłowie i ministrowie pouciekali, a prasa niemiecka, Rusinom najprzychylniejsza, dała im wyraźnie do zrozumienia, że parlament to nie karczma, aby w nim krzyki i ryki urządzać. Zabrał następnie głos politowania godny Budzynowski i wołał całkiem seryo, że Polaków trzeba wytopić w Sanie. Izba słuchała go jak waryata i patrzyła na niego jak na waryata. Jakby mało było jeszcze tej wszechstronnej kompromitacyi, występuje Markow z rosyjską oracyą, która do reszty pogrzebała stronnictwo ruskie. Bo po tej oracyi nawet bezwzględni przyjaciele Rusinów powiedzieli sobie, że

niech dyabli porwą stronnictwo,

które austryacką kwestyę językową bogaci jeszcze jednym i to aż zagranicznym językiem.

W ten sposób Rusini, którzy sprawiali nam tyle kłopotu i łamania głowy, przynajmniej na arenie parlamentarnej przestali być groźnymi przeciwnikami, bo nikt ich już seryo nie bierze, a każdy kpi sobie z nich i za hajdamaków uważa. Są oni nam jeszcze tylko dokuczliwym wrogiem domowym, ale nasza w tem głowa, aby bądź to — gdzie trzeba — energią i nieustępliwością, bądź też — gdzie można — wyrozumiałością i zgodą dojść z nimi do ładu i do porządku.

Dobrze zrobili posłowie Głąbiński, Petelenz, Stwiertnia i Stohandel, że interpelowali ministra kolejowego w sprawie

polepszenia bytu kolejarzy,

których służba jest ciężką, a odpowiedzialność olbrzymią. Socyaliści również udają, że się losem kolejarzy interesują, ale pozytywnego kroku w ich sprawie nigdy jeszcze niezrobili, zainteresowanie swe niemi dokumentując na razie ustawicznem wyłudzaniem od nich składek na cele, z których nigdy nikomu niezdają rachunku, co najwyżej kontrolując się nawzajem tylko, aby jeden niewziął więcej od drugiego.

Cesarz Wilhelm widząc, że w polityce państw europejskich został odosobniony, że Anglia stworzyła przeciw niemu potężne trójprzymierze, a z nim, oprócz księcia z Monacco, nikt się bratać niechce, rad nierad postanowił się upokorzyć i w połowie przyszłego miesiąca

jedzie wraz z żoną do Londynu,

aby tam wujowi Edwardowi się przymilić, a jeśli się uda, i nowych intryg narobić. To upokorzenie dumnego Kryżaka jest dowodem, że i w polityce tylko uczciwością coś trwałego stworzyć można, że perfidya, intryga i wiarołomstwo mają krótkie nogi i daleko na nich nie zajdzie.

Z Rosyi, jak zawsze, każda wiadomość krwią zbroczona, albo przepasana stryczkiem. Rewolucyoniści tylu i tylu zabili, a rząd tylu i tylu powiesił. Na odmianę przychodzą i takie telegramy: pepesowcy tyle zrabowali, a czynownicy tyle zwarowali. Wśród tej ustawicznej walki o życie i o dieńgi niezapominają Moskale o

prześladowaniu Polaków

i coraz to nowe wymyślają ukazy, aby nam dokuczać i nas gnębić. Na szczęście nasi rodacy za kordonem już się przyzwyczaili do łajdactw moskiewskich, a także wiedzą dokładnie, komu i ile rubli w łapę wsadzić należy, aby zbyt waryackiego ukazu w czyn nie zamieniono, i dzięki tym dwom okolicznościom jakoś znośnie żyją pod knutem zwaryowanego cara i czekają lepszych czasów na które w Rosyi po tej krwawej rewolucyi się zanosi.

Powoli ale nieubłaganie zdobywają sobie kobiety coraz to szersze prawa społeczne. Oto telegramy z Londynu donoszą, że Izba lordów uchwaliła ustawę, która pozwala kobietom

piastować urzędy municypalne,

co jest tylko wstępnym krokiem do tego, że kobiety i do wszystkich innych urzędów dopuszczone zostaną, a wtedy możliwem jest, że powstanie między męzką i żeńską połową świata zażarta walka o kawałek chleba, o byt, — a walka taka, jak uczy doświadczenie, bywa najbezwzględniejszą i najnielitościwszą.

W Korei już się uspokoiło. Król zdetronizowany, a jego następca będzie tylko maryonetką w ręku Japończyków, którzy obecnie w dwóch miejscach stanęli silną stopą na stałym lądzie Azyi, a mianowicie w Korei i w Porcie Artura. Że te zdobycze japońskie są tylko pierwszym krokiem do hegemonii nad Chinami, a może i nad Azyą całą, to nieulega wątpliwości.

Wczoraj nareszcie

parlament został odroczony,

przyczem posłów Szajera i Stapińskiego spotkała niemiła niespodzianka: oto komisya nietykalności poselskiej wydała ich obu sądowi jako oskarżonych o obrazę czci.

95

MICHAŁ WOŁOWSKI.

ŚLADEM ZBRODNIARZY

ROMANS NA TLE STOSUNKÓW WARSZAWSKICH.

Na tę propozycyę Eberski nic nieodpowiedział, ale wstrząsnęło w nim coś we wnętrzu do głębi. Był on łotrem skończonym, łotrem ostatniego gatunku i rodzaju, ale w każdym razie rozumienie wysokie miał o sobie. Zbrodnie własne uważał za coś wyższego od tych tuzinkowych, pospolitych przestępstw i brudów z któremi na każdym kroku spotykał się na świecie. To, co się w nim obudziło w tej chwili, było, że się tak wyrazimy, pewnego rodzaju ambicyą łotra, oburzonenego na zwykłego rzezimieszka, iż może się z nim równać.

Piękna brunetka jednak, ujrzawszy to jego wahanie się, nie myślała dać za wygrane i sądząc, iż Eberski chce jej coś odpowiedzieć, a nie przypuszczając, aby ta odpowiedź była w tonie przychylnym dla niej, zawołała szybko:

— Czekaj pan, ja nie wszystko jeszcze panu powiedziałam. Nie jestem szaloną, propozycya moja nie jest, jak to panu na pozór zdawać się może, taką błahą, ja mam majątek, którego pan nie masz i który nam obojgu na spokojne, bez burz życie wystarczy. Nie szłam drogą innych marnotrawnic, oszczędzałam pilnie grosz każdy, a dziś posiadam sto tysięcy rubli.

— Sto tysięcy rubli! — powtórzył automatycznie Eberski.

— Tak, panie, prawda, że za tą cenę warto jest oddać swoje nazwisko, ba, nawet i swoją miłość.

Eberski uśmiechnął się najpierw cicho, potem głośniej, w końcu wiocznem było z całego zachowania się jego, że chociaż propozycya ta nie zrobiła mu szczególnej przyjemności; przecież uznał ją za godną zastanowienia i uwagi.

Wahanie to zauważyła piękna brunetka, bo znów zawołała:

— Nie żądam od pana natychmiastowej odpowiedzi, takich kroków nie popełnia się od razu, wiem, iż wymagają one zastanowienia, zastanów się pan więc, i odpowiedz mi wtedy, kiedy uznasz to za stosowne.

— Tak, pani. Ożenić się, to znaczy zupełnie toż samo, co rzucić w przepaść! — zawołał lekkim tonem Eberski i chciał coś dalej dowcipkować na temat tego rodzaju, gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołała brunetka.

W buduarze znalazł się wygalowany lokaj, poprzedzony przez zgrabną subretkę.

— A co tam? — spytała pani domu.

— List od księcia pana.

— Pokaż.

— Oto jest — zawołał przybyły lokaj.— Książę pan polecił mi tylko przynieść sobie pokwitowanie.

To mówiąc przybyły podał pani tego buduaru spory pakiet opieczętowany, który też natychmiast otworzyła.

Pakiet zawierał dziesięć tysięcy rubli w biletach bankowych, a przy nim znajdowała się maleńka karta wizytowa, na której drobnym, śpiczastym angielskim charakterem wypisanem było słów parę:

Brunetka nie czytając bilecikn, odrzuciła go na bok, a zajęła się tymczasem z całą pilnością liczeniem znajdujących się w pakiecie pieniędzy.

Zabrało to jej sporo czasu. Paluszki, przebierające prosto z pod stępla wyszłe banknoty, prawie, że pożerał swojemi oczyma Eberski.

Gdy tę swoją czynność ukończyła gospodyni buduaru, szybko chwyciła swoją kartę wizytową, podbiegła do maleńkiego stolika, na którym stały przybory do pisania i krótko, z prawdziwą handlową zręcznością wypisała pokwitowanie z odbioru dziesięciu tysięcy rubli.

— Charmant! — zawołała po chwili — oddając pokwitowanie lokajowi i powracając na swoje pierwotne miejsce.

— Pani jeszcze nie przeczytałaś bileciku.

— Prawda, ale tam niezawodnie niema nic ciekawego. Krótkie pożegnanie i nic więcej. Co prawda, nie spodziewałam się tego, ten człowiek mnie nie skrzywdził, wszystko, co mam, jemu zawdzięczam.

To mówiąc, wzięła do rąk bilecik, który razem był zapakowany z banknotami i przeczytała głośno: „Pożegnanie dla mojej dobrej Teci z prośbą o dobre wspomnienie“.

— Ten człowiek do końca był gentelmenem, cóż pan na to?

Eberski miał twarz w tej chwili wykrzywioną dziwnie. Jakaś złość, pasya, namiętność malowały się na niej. Wzrok cały utopił nie w twarzy ładnej brunetki, a w owych porozrzucanych na stoliku banknotach, których obecność widocznie drażniła jego nerwy.

(C. d. n.).

Biuro małżeństw we Lwowie.

(Ciąg dalszy).

Artykuły nasze o pośredniczkach małżeńskich we Lwowie wywołały duży ruch w pewnych sferach, a dzięki temuż nasza teka redakcyjna wzbogaciła się o cały szereg interesujących bardzo informacyi na powyższy temat.

I tak między arystokracyą lwowską zażywa dużo miru pewna dama, która należy do tej sfery i w sposób bardzo zręczny swata ze sobą najrozmaitsze herby, ciągnąc z tego spory zyski. Pani radczyni (ma prawo do tego tytułu, bo jej mąż jest radcą) rzadko tylko i z wielką trudnością doprowadza taki interes do skutku, ale on jej się też sowicie opłaca. Prowadzi ona w V. dzielnicy dom na wielką skalę, i sama wyszukuje młodzieńców przedniego rodu, aby ich wyswatać. Terenem spotkania upatrzonej przez nią pary bywa zazwyczaj jej salon podczas wydanego *ad hoc* przyjęcia. Gdy swój zamiar doprowadzi do skutku, nie żąda nigdy prowizyi, tylko prosi o pożyczkę tej strony, która — jej zdaniem — zrobiła na tem małżeństwie lepszy interes. Rozumie się, że jest to pożyczka wzięta na wieczne nieoddanie, i strona, która ją daje, wie dobrze, że ta bezzwrotna pożyczka jest tylko dousserem za skojarzenie małżeństwa.

Przed trzema laty atoli dama ta, dzięki zbyt delikatnej formie, w jakiej inkasuje swoją prowizyę, popadła w niemałą kalamancyę. Od pewnego małżonka, który jej zawdzięczał pozbycie się kawalerstwa, pożyczyła 6000 koron. Tymczasem małżeństwo się niebawem rozeszło, i mąż wskutek tego pozostał się tak samo goły, jak był przed ślubem. Gdy już wyczerpał swój i tak nadszargany kredyt, zwrócił się do radczyni o zwrot pożyczki. Ta naturalnie była oburzona tem żądaniem i bez ogródek odmówiła. Baron L. zaskarżył ją zatem do sądu i tu sprawę wygrał, gdyż trybunał pożyczki tej ze względów zasadniczych niemógł traktować jako prowizyę, należną pani radczyni. Instancya wiedeńska wyrok zatwierdziła i baron L. podał o egzekucyę i licytacyę ruchomości swej dłużniczki, która niemiała z czego tego fatalnego długu zapłacić. Ostatecznie od różnych skojarzonych przez nią małżeństw podopożyczała jeszcze po 500 i po 1000 koron i zaspokoiła swego wierzyciela. Proces ten w światku arystokratycznym wywołał zaniepokojenie, ponieważ zirytowana radczyni opowiadała przed trybunałem, jak to Iksowie lub Ypsylonowie również jej zawdzięczają swe szczęście lub nieszczęście małżeńskie, a jednak ani im na myśl przyjdzie żądać zwrotu pożyczki.

Pani ta — to rzecz zrozumiała — niemoże się ograniczać do szczupłego koła lokalnych klientów, ale przedsiębierze w swem interesie podróże do Krakowa, Warszawy i Wiednia. W tem ostatniem mieście wyswatała pewną znaną z piękności arystokratkę polską z jednym magnatem francuskim, co jej przyniosło podobno pożyczkę w wysokości 30.000 franków czy koron. Mimo tak pokaźnych od czasu do czasu zarobków żyje pani radczyni w kłopotliwych stosunkach, bo mając większą gotówkę, wyrzuca pieniądze drzwiami i oknami, niepłacąc swych długów u rozmaitych kupców, które to długi — widocznie z zawodowego przyzwyczajenia — zdaje się także uważać za takie, jakich zwracać nie jest zobowiązaną.

Informator nasz donosi nam jeszcze, że pani radczyni odnośne artykuły w *Gońcu* czyta z wielkiem zajęciem, a myśl założenia biura małżeństw, jej zdaniem, jest bardzo szczęśliwą i pożyteczną. Małżeństwa coraz rzadziej powstają na sympatyi, a coraz częściej i coraz jawniej traktowane są jako interes. A pośrednictwo w interesie każdego rodzaju jest potrzebne i dla wszystkich trzech stron korzystne. Wszędzie zagranicą egzystują olbrzymie biura małżeństw, i o ile są prowadzone uczciwie, oddają wielkie usługi klientom, a same zarabiają kolosalne nieraz pieniądze. Być może, że lwowskie biuro będzie miało do walczenia z uprzedzeniami i fałszywym wstydem obu stron. Ale chodzić do niego ludzie będą, może ukradkiem, jak do zakładu zastawniczego, a głównie prowincya, gdzie stosunki matrymonialne są trudniejsze, powinna z niego bez skrupułu korzystać.

Te uwagi pani radczyni o projektowanem biurze małżeństw podzielamy w zupełności. (C. d. n.).

Hr. Zieliński — w roli szpiega.

Przed kilkoma miesiącami wykradziono plany fortecy przemyskiej, czy kilku fortów. Policya przemyska rozwinęła cały aparat śledczy, aby wykryć sprawców. Wreszcie poruczono tę sprawę znanemu agentowi policyi lwowskiej p. Spangowi. W międzyczasie zjawił się u komendanta fortecy przemyskiej młody człowiek, który przedstawił się jako Kryłow i oświadczając, że ma poszlaki, kto dokonał kradzieży planów, ofiarował się sprawców jej wyśledzić. Kryłowa dodano Spangowi do pomocy. Kryłow rozmaicie wodził Szpanga, ale w ten tylko sposób, że Szpang na darmo czas tracił i wreszcie zniknął. Zrodziło się teraz podejrzenie, że Kryłow wyprowadził wszystkich w pole i przedsięwzięto za nim pościg.

Szukano go po całej Galicyi, nadaremnie. Aż nareszcie przypadek zdziałał, że wykryto, iż ów Kryłow identycznym jest z owym Zielińskim, który przed rokiem usiłował dokonać wymuszenia na hr. R. we Lwowie, zamieszkałym przy ulicy Zielonej, za co zasądzonym został na karę parumiesięcznego więzienia. W więzieniu nawiązał Zieliński stosunek z żoną klucznika aresztów, Franciszka G.; stosunek ten po wyjściu z więzienia utrzymywał dalej, zwłaszcza, że dostawał od Franciszki G. zasiłki pieniężne. I ten stosunek teraz go wydał.

Policya przeprowadziła rewizyę u Franciszki G. i znalazła między innemi list, w którym Zieliński donosił, iż ukrywa się w Starym Zagórzu w przebraniu robotnika, gdzie też oczekuje na 30.000 koron, które ma dostać za skradzione plany. Natychmiast wyjechali agenci do Starego Zagórza i aresztowali tam Zielińskiego. Franciszka G. usiłowała się otruć sublimatem; odwieziono ją do szpitala. Zielińskiego przywieziono do lwoskiego więzienia. Dalsze śledztwo wykazało, że miał on wspólników, na których tropie już jest policya.

W sprawie tej jedno z pism porannych przynosi jeszcze następujące szczegóły:

W maju bieżącego roku bawił Kryłow-Zieliński w Brodach. Przy końcu tego miesiąca władze bezpieczeństwa wpadły na trop jego. Niestety Kryłow zdołał już uciec, a jedynem dokumentem świadczącym o jego pobycie był przekaz pocztowy na 20 koron, na którym, jako nadawca figurowała p. Janicka, obywatelka lwowska, mieszkająca przy ulicy Cetnerowskiej l. 25. Dnia 26-go maja, popołudniu zajechała pod dom p. J. karetka, z której wysiadło dwóch panów. Pani J. stała przed domem i doglądała robotę. Owi nieznajomi podszedłszy do niej oświadczyli, że w domu jej zamierzają urządzić rewizyę. Przetrząśnięto cały dom, jednak bez rezultatu. Tego samego jeszcze dnia zawezwano ją na policyę, gdzie ją konfrontowano z urzędnikiem pocztowym p. Burzyńskim.

Urzędnik ów, który odbierał nadane pieniądze do Brodów, z dziwnym i niewytłumaczonym uporem twierdził, że pani J. jest identyczną z widzianą przez niego nadawczynią. Proste jednak i pewne jej odpowiedzi na zadawane jej pytania, zdołały osłabić twierdzenie urzędnika i panią J. wypuszczono na wolną stopę. — Upłynęło sporo czasu, p. J. zdołała nawet o wszystkiem zapomnieć, aż w środę ub. tygodnia zjechała do niej ponowna rewizya. Przetrząśnięto znowu dom cały, przeglądnięto wszystkie papiery, znów jednak bezskutecznie. Zawezwano ją do prezydyum policyi, gdzie przesłuchiwano ją przez dłuższy czas w sposób niezmiernie męczący. Skonfrontowano ją z jakimiś dwoma mężczyznami, którzy z całą stanowczością twierdzili, że widzieli ją w Brodach, ubraną w prochownik z koszyczkiem w ręku. Wysłano ajentów w poszukiwanie za owym prochownikiem, nie znaleziono go jednak, wobec czego p. J. puszczono na wolność. W parę godzin później przybył znowu kom. Łukomski i zaaresztował ją. Osadzono ją w aresztach policyjnych, gdzie przepędziła okropną noc. Rano wypuszczono ją. Policya była już na właściwym tropie i pani G., siostra jej, była już w drodze do Zagórza.

Przy sposobności tej musimy sprostować pomyłkę, jaka się wkradła z powodu niejasnych pod tym względem wiadomości. Stosunku mianowicie p. G. do Kryłowa w żaden sposób nie można nazwać stosunkiem miłosnym, była to tylko litość kobieca dla człowieka, który wydał się jej inteligentnym i zupełnie niewinnym. Dwadzieścia koron, które posłała rzekomemu hr. Zielińskiemu w formie wsparcia dla tego, zdaniem jej, biednego człowieka: posyłając nie miała zupełnie pojęcia komu posyła. Wogóle p. G. znaną jest w aresztach policyjnych, jako tkliwa i skłonna do litości kobieta.

Wczoraj opuściła szpital. Stan jej zdrowia znacznie się polepszył.

Przy sposobności tej należy podać, że właściwe nazwisko Kryłowa-Zielińskiego brzmi Ludwik Kotlarewicz.

Teatralni dyplomaci.

Konferencya pokojowa w Hadze jest niewinną sobie komedyą, która żadnemu z państw nie zaszkodzi, ani niepomoże. Inicyatorem jej jest car, i to ją przedewszystkiem obniża w opinii całego świata. Praktycznego rezultatu ona nie wyda, bo to, co dyplomaci na niej uradzą i spiszą, pójdzie do archiwum i niewstanie ztamtąd więcej. Że to zbiorowisko dyplomatów

niepowoduje się sprawiedliwością, dowód w tem, iż wyrzucano posłów koreańskich, którzy przybyli żalić się na swe krzywdy. Polacy chcieli też zwrócić uwagę konferencyi na zamierzone przez rząd pruski prawo ekspropryacyjne, ale dali temu pokój, w przekonaniu, że to psu na podeszwy się nie przyda. Szkoda tylko, że konferencya ta pochłania olbrzymie sumy. I tak np. delegaci repub. Argentyny otrzymali na pobyt w Hadze 150.000 franków, ich sekretarze (dwaj młodzieńcy, zupełnie nieznani w świecie dyplomatycznym) 25.000 franków. Prawdziwie bajońskie sumy wypłacono przedstawicielom wielkich mocarstw. A było kogo opłacać. N. p. Stany Zjednoczony i Anglia wysłały po 7 reprezentantów i odpowiednio liczny personal pomocniczy. Z drugiej strony niektóre małe państewka skąpo wyposażyły swych delegatów i ci muszą żyć ekonomicznie.

W tym małym światku dyplomatycznym są reprezentowane różne sfery społeczne, a więc: arystokracya rodowa, plutokracya, burżuazya, a nawet i cyganerya. Tej ostatniej jest więcej, niż czytelnicy mogli sądzić. Mniejsze państwa reprezentują dyplomaci zaimprowizowani. Na tydzień przed otwarciem konferencyi niejeden ani nie pomyślał, że zostanie „dyplomatą“, biorącym udział w kongresie światowym. Znam pewnego niepoprawnego „cygana“ i artystę o wielkim talencie, który w jednej z kawiarń bulwarowych w Paryżu zaskoczony został depeszą, pochodzącą od jego przyjaciela, prezydenta jednej z wielu republik południowo-amerykańskich. W kablotelegramie było powiedzianem: „Wyświadczył byś mi przysługę osobistą, udając się najbliższym pociągiem do Haagi, by tam reprezentować państwo, którego jestem zwierzchnikiem. Posyłam ci równocześnie telegraficznie 5000 franków na opędzenie kosztów. Dzięki“.

Dictum — factum. I tak do Haagi przybył jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodej literatury hiszpańskiej. Wziął ze sobą tylko telegram prezydenta jako legitymacyę, 5000 fr. i ostatni tom „Mercure de France“.

Typem dyplomatów-arystokratów jest przedstawiciel Portugalii, markiz de Soveral, „smart“ w każdym calu, osobisty przyjaciel Edwarda VII. i podobnie jak król, wielka powaga w dziedzinie mody. — Gdy siedzi przy stole biesiadnym, którego obrus zasłany różami, podobnym jest do płaszcza purpurowego; postać markiza wielkopańska, majestatyczna, odbija jaskrawo od innych dyplomatów-współbiesiadników. Ten syn Południa, osiedlony w Anglii, odznacza się tak „wielkim stylem“, że patrząc nań przypominamy sobie czasy, w których dyplomata musiał posiadać niezwykły „charme“ osobisty, wymowę wykwintną, a w gestach i czynach powagę, delikatność i dowcip niemały. — Dziś przeciętny dyplomata jest sztywnym biurokratą.

W wielkiej, sali hotelu pokoje wszystkie zajęte. Nie słychać lekkiego gwaru, nie widać swobodnych uśmiechów. Pp. mężowie stanu rozmawiają półgłosem monotonnym, liczą się z każdem słówkiem. Dla wielu z tych panów poselstwo w Hadze jest ukoronowaniem 30- albo 40-letniej pracy w ministerstwach, w służbie dyplomatycznej. Po konferencyi czeka ich order i emerytura. Pracują tu pilnie, by nie zepsuć swej reputacyi. W obliczach ich znużonych wyczytać można, że nie bawi ich ta komedya. Dla młodszych pobyt w Hadze jest ważnym krokiem do zdobycia karyery. Ten i ów myśli, że po konferencyi przejdzie ze służby politycznej lub ministeryalnej do ponętnej służby dyplomatycznej, a może zostanie ambasadorem.

Birbant w koronie.

Taki przydomek nosił niegdyś król serbski Milan, a zdaje się, że godnym jego następcą jest król portugalski Carlos I. Monarcha ten jest niezłym malarzem, wielkim sportsmenem, jeszcze większym miłośnikiem płci pięknej — ale strasznie lichym królem, którego sprawy i wypadki polityczne prawie zgoła nie zajmują i który urzędowych raportów swoich ministrów słucha poziewając, albo — mówiąc o czem innem. W takich warunkach nie dziw, że prezydent ministrów Franco robi z królem co chce i narzucił się formalnie na dyktatora. Król czuje się najswobodniejszym poza granicami swojego kraju, a już najszczęśliwszym w stolicy nadsekwańskiej, gdzie najchętniej przebywa *incognito*, szukając przygód i uciech tego życia w różnych wesołych towarzystwach. Niedawno miał taki wypadek: Wskoczył do dorożki i kazał się wieźć tam a tam. Równocześnie dwaj tajni agenci, mający zadanie strzedz jego osoby, popędzili za dorożką na bicyklach. Zauważył to automedon, a myśląc że policyanci ścigają jego pasażera, odwrócił się na koźle i rzekł do swego gościa: — Słuchajno obywatelu! zdaje mi się, że policya następuje ci na pięty... — Nic nie szkodzi, odparł król wesoło — jestem do tego przyzwyczajony.

Mimo niepopularności króla, nie zdaje się, aby mu groził upadek, jakkolwiek przebąkiwano już o tem w prasie, z powodu, że istnieje w Portugalii partya, t. zw. Miguelistów, zwolenników pretendenta do tronu Dom Miguela Braganza. Cała ta partya jednak składa się z kilkunastu starych wprawdzie, ale kompletnie zubożałych rodów szlacheckich, żyjących w zrujnowanych swych zamkach starożytnych i zadowolonych, jeśli jako tako mogą wegetować. Od czasu do czasu urządzają sobie te „familie“ wspólne zebrania, na których popijając cieniutką herbatkę, opowiadają sobie różne plotki i kombinacye polityczne, albo wygrzebują z pyłu wieków stare jak świat anegdoty i wspomnienia familijne. Taka „partya“ groźną królowi chyba być nie może.

Jest jeszcze inna antidynastyczna partya, t. zw. republikańska, ale tę tworzą znowu sami frazesowicze, trybuni, którzy pustemi tyradami usiłują wpłynąć na masy, na zgromadzeniach ludowych. Partya ta jest wcale nie źle zorganizowaną, ale brakuje jej najważniejszej rzeczy: pieniędzy. Dodać też potrzeba, że i w armii wieje dość silny duch republikański. Wielu oficerów armii lądowej i floty przyznaje się jawnie do idei republikańskich. Zeszłego roku namet pewien generał dywizyi, spotkawszy króla jadącego powozem, nie złożył mu ostentacyjnie powinnego ukłonu, na co patrzało wielu oficerów i młodych kadetów. Ale król udał, że tego nie zauważył, a generał dotychczas — jest generałem.

Bądź, co bądź, rewolucya w Portugalii na razie jest niemożliwą. Naprzód bowiem poza dynastyą stoi Anglia, a powtóre, że nie ma człowieka dość utalentowanego i energicznego, któryby umiał skorzystać z niezadowolenia panującego w kraju, zarówno w warstwach najniższych, jak wśród stanów uprzywilejowanych, oraz z usposobienia republikańskiego w armii. Ludność najuboższa, nieuświadomiona, radzi sobie tedy w ten sposób, że emigruje do Ameryki, a te klasy uprzywilejowane, którym prezydent Franco, odebrał możność życia bezczynnego, a wystawnego na koszt skarbu państwa, te nie posiadają żadnego znaczenia ni wpływu. Tak więc długo jeszcze zostanie wszystko po staremu.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We czwartek rzym.-kat. Jakóba Ap. — gr.-kat. Prokła.

W piątek rzym.-kat. Anny, matki MP.— gr.-kat. Sobor ś. Hawr.

Colosseum Hermanów:

(Pasaż Hermanów, ulica Słoneczna) codziennie o godzinie 8-mej wieczorem przedstawienie; w niedzielę i święta dwa przedstawienia (serya od 16-go do 31-go b. m.). Nowy świetny program.

Ogród Colosseum Hermanów. Od wtorku 16-go lipca b. r. zupełnie nowy fenomenalny program, 10-sięć sensacyjnych niespodzianek. Kongres najznakomitszych artystów świata.

W razie niepogody odbędą się przedstawienia w sali.

MIEJSCOWA.

„Herold Polski“ od kwartału zmienił nietylko właścicieli i kierownictwo, lecz — co ważniejsze — kierunek. Zamarła w nim do szczętu dawna żyłka pikanteryi, a natomiast przedzierzgnął się *Herold Polski* w tygodnik dla rozrywki i pożytku rodzin, obficie ilustrowany obrazami chwili. Redakcya zapełnia szpalty swego pisma rzeczami istotnie zajmującymi, a jakkolwiek ton jest przystosowany do wymagań „najszerszych“ kół, przebija jednak staranność opracowania i troskliwy dobór materyału. Do spopularyzowania *Herolda* w dzisiejszej szacie przyczyni się niezawodnie także cena bardzo nizka (5 centów za egzemplarz). Okazowe numera wysyła administracya *Herolda Polskiego* na żądanie gratis.

P. Antym Nikorowicz, dyrektor galic. Kasy oszczędności ustępuje ze swego stanowiska z powodu ciężkiej choroby, która od paru lat go już trapi. Następcą jego ma zostać dr. Stroynowski, który go zastępuje w urzędowaniu.

Dla Kasy ustąpienie p. Nikorowicza jest stratą nie łatwą do powetowania. Był on idealnym dyrektorem instytucyi, która tak fatalne przeszła koleje i wymagała nader oględnego kierownictwa. Uprzejmy, uczynny, umiał pogodzić interes Kasy z interesami społeczeństwa, dla którego pożytku Kasa została stworzoną. To też był powszechnie lubiany, a jego ustąpienie budzi szczery żal we wszystkich sferach naszego miasta.

Nierzetelny znalazca. Mojsie Steingut zgubił wczoraj koło Dyrekcyi policyi pięciokoronówkę. Dopiero kiedy uszedł parę kroków, spostrzegł swą zgubę, wrócił się więc i chciał podjąć ją z ziemi, gdy uprzedził go Samuel Toni i podjął ja. Steingut zażądał zwrotu zgubionych pieniędzy, lecz

bezczelny Toni łupnął go w gębę. Sprawa oparła się o policyę, która skierowała ją na drogę sądową.

Bydlę. Grzegorz Bera, zamieszkały przy ulicy Ormiańskiej, tak katował wczoraj swoje małe dziecko, że powstało przed bramą domu, w którym mieszka, ogromne zbiegowisko. Bera, ratując się przed rozgoryczeniem tłumu, razem z dzieckiem schował się w sąsiedniej kamienicy.

Bandytyzm. Czereda, złożona z czterech drabów, napadła dziś rano na ulicy Słonecznej na przechodzącego Stanisława Czortyńskiego, pomocnika murarskiego. Jeden z bandy uderzył go tępem narzędziem w głowę. Kiedy Czortyński odzyskał przytomność, bandy już nie było.

Tow. lekarzy galicyjskich odbyło walne zgromadzenie pod przewodnictwem radcy dr. Merunowicza. Po oddaniu hołdu zmarłym członkom towarzystwa podkreślił przewodniczący zasługi ś. p. dr. Zawadzińskiego i prof. dr. Jordana i uchwalił zamiast wieńca przesłać kwotę 100 koron na warsztaty rękodzielnicze dla młodzieży szkolnej we Lwowie, gdyby tu powstały.

Postanowiono, że organem tow. jest „Lwowski tygodnik lekarski", uchwalono zaciągnąć pożyczkę w Banku krajowym w sumie 30.000 koron na inwestycyę zdrojowiska Morszyn, własności towarzystwa, zamianowano dr. Festenburga honorowym członkiem i omówiono szereg wniosków odnoszących się do interesów ekonomicznych lekarzy.

Rada miejska odbędzie dziś posiedzedzenie, na którego porządek dzienny jakby dla kpin wtłoczono sprawę miejskiego zakładu pogrzebowego — a niepomyślano o aktywowaniu funduszu emerytalnego dla funkcyonaryuszy niestałych poborów miejskich. O sprawie tej pisaliśmy już obszerniej. Pewnie referent dr. Lisiewicz zapomniał znów przynieść swój skrypt na dzisiejsze posiedzenie. Formalnie wstrętu nabiera się do ludzi, którzy tak lekceważą los i dolę setek rodzin, a ze strony Rady jest bezprzykładną lekkomyślnością powierzać tego rodzaju referaty ludziom, którzy aż rozdymają się od szalonej ambicyi, ale równocześnie aż gniją z lenistwa — i sprawę, którą sumienie nakazywało załatwić jak najprędzej, przewlekają pod najmarniejszymi wymówkami w nieskończoność. — A gdy przyjdzie czas nowych wyborów do Rady, co to znów *Kuryer* i *Wiek* będą pisać o drze Lisiewiczu, o jego pracowitości, o zasługach dla miasta, o życzliwości dla miejskich urzędników!

Kruk kracze. Donosiliśmy niedawno o orgiach, jakie się dzieją w szynku przy ul. Kołłątaja l. 8. Otóż właścicielem tego szynku jest p. Kruk, który przyszedł do naszej redakcyi i nakrakał nam o krzywdzie, jaka mu się stała. Szynk jego, twierdzi p. Kruk, jest bardzo porządny, a że czasem trafiają się nieporządni goście, to już nie jego wina, a tylko stosunków społecznych, nad których naprawą on rzetelnie pracuje. Bardzo to pięknie, że pan Kruk wedle możności przykłada rękę do ładu społecznego, ale idei tej i pracy tej najlepiej się przysłuży, jeżli tych nieporządnych gości będzie ze swojego szynku pędził za dziesiątą ulicę.

Na wakacye! Lwów do reszty się opróżnił. Teraz rozpoczęły się nawet uniwersyteckie ferye. Kto mógł, wyjechał w zielone doliny i w czarniawe góry. Na kolei w ostatnim czasie panował ruch taki, jakby znów szach miał przyjechać, u Żorża mieszkać i ordery rozdawać. Zarobili ekspresi kolejowi, którzy dokazywali atletycznych sztuk, wynosząc bagaże na peron — schodami na dół — i po schodach do góry. Przy kasach bijatyka na laski i parasole. Obrazek to trochę przesadny, bo stoi tam policyant i „baczy". Że jednak mimo tego do niemiłych scen tam przychodzi, o tem wie każdy, kto bilet tam kupował w pogodny niedzielny poranek. Jeszcze przez okno małżonek-Judasz składa na ustach swej połowicy łzawo tęskliwy pocałunek — a nim ostatni wagon wyjechał z dworca, dobywa lusterko i wąsa z uciechą podkręca, a z faryzeuszowskiej piersi dobywa mu się okrzyk pełen radości i tryumfu: nareszcie sam!

Śmierć przy herbacie. Goście siedzący wczoraj na werandzie cukierni p. Podhalicza przy ul. Akademickiej zaskoczeni zostali nagłym wypadkiem śmierci. Oto około godziny $5^1/_2$ przyszła do cukierni p. Karolina Ciepielowska, żona byłego właściciela dóbr i kazała podać sobie herbatę. Zaledwie jednak poczęła ją pić — nagle omdlała, przechyliła się na krześle — pospieszyli jej z pomocą inni obecni; posłano po lekarzy, którzy przyszedłszy skonstatować mogli tylko śmierć.

Nasz reporter pisze:

Dziś, jak czytam w kalendarzu, jest wielkie częściowe zaćmienie księżyca, które widzieć jednak będą tylko afrykańscy murzyni i amerykańscy indyani, co jest wielka szkoda, bo ci ludzie mało się na tem rozumieją. U nas podobno trochę tego zaćmienia będzie widać po godzinie 6-ej, a to w myśl astronomicznego przysłowia: lepszy rydz jak nic.

Nic tak dobrze nie ilustruje przysłowia: z małych przyczyn wielkie skutki — jak wczorajsze zdarzenie. Oto Jan Stechliński, stróż bez zajęcia, umazał swemu koledze Michałowi Stopce, gębę czernicą, zaco Stopka rozwalił Stechlińskiemu głowę i poranił twarz. Tak to mała czernica spowodowała pobicie wielkiej stosunkowo głowy Stechlińskiego.

Szanowna Redakcya żądała odemnie wczoraj, abym opisywał w mych notatkach sam fakt tylko a unikał uwag, które są głupie i mnie kompromitują. Czy moje uwagi są głupie, to zostawiam ocenie P. T. Czytelników, którzy uwagi moje, jak się to przekonałem, pilnie czytają. A że mnie one kompromitują, to niema nic do rzeczy. Proszę mi pokazać jednego wybitnego w Galicyi człowieka, któryby nie był skompromitowany. To należy do do sławy, do aureoli społecznej. I dlatego ja moją kompromitacyę dźwigam z godnością godną lepszej sprawy.

Czemu *Goniec* tak ujada na posłów socyalistycznych za to, że oni chcą i przez lato brać poselskie dyety? A czy redaktor wie, że i ja, udając się na urlop, moich trzech centów od wiersza zażądam? Głupi daje, mądry bierze, przyczem zastrzegam się, że nie piszę tego w znaczeniu, jakoby szanowna Redakcya była głupią, a ja był mądry.

Opowiedzieć trudno, jaka posucha kronikarska panuje w całym Lwowie. Nawet komisarz policyi, który prowadzi inspekcyę, wyspowiadał się dziś przedemną, że jak tak dalej pójdzie, to przyjdzie zwaryować. I ja już jestem na pół waryat. Wczoraj np. irytowałem się, czemu tramwaj niechodzi ul. Zieloną i Janowską, choć obie te linie są już zupełnie wykończone. Odpowiedziano mi, że wozów niema, bo je zapomniano zamówić i dopiero na przyszły rok będą gotowe. Czyż to nie jest dostatecznem wytłómaczeniem? Czyż to nie jest jasnem, jak klej, że skoro niema wozów, to niemożna jeździć? A ja się irytowałem i mówiłem: co to za porządki! A przecież nietylko bez pracy niema kołaczy, ale i bez wozów niema jazdy.

Z KRAJU.

Dyrektorem teatrów rządowych w Warszawie zostać ma Kazimierz Zalewski, znany komedyopisarz. Jak donoszą z Warszawy, dyrekcya tamtejszych teatrów rządowych prowadzi z panem Zalewskim rokowania o objęcie kierownictwa dramatu. Jest to ten sam Zalewski, który był niedawno aresztowany, ponieważ podejrzywano go o miatieżnictwo.

ZE ŚWIATA.

Bojowcy na lądzie i na morzu. O niezwykle śmiałym napadzie bandyckim donoszą dzienniki odeskie: W ubiegłą sobotę wyruszył z Odesy parowiec „Zofia", mając na pokładzie 80 pasażerów, wśród których znajdował się kasyer chersońskiego oddziału banku rosyjskiego dla handlu wewnętrznego, mający przy sobie 50.000 rubli dla filii bankowej w Chorłach. — Załoga składała się z 20 ludzi, oprócz kapitana i 2 jego pomocników.

Około godziny 12-ej na statku rozległ się sygnał, dany świstkiem. W mgnieniu oka parostatek znalazł się we władzy 18 napastników, zbrojnych w rewolwery, kindżały i bomby. Napastnicy jednocześnie zaaresztowali publiczność, załogę i kapitana z pomocnikami, poczem zwrócili oni statek z powrotem do Odesy.

W tym samym czasie inni dokonywali rewizyi pasażerów. Przedewszystkiem wzięto się do kasyera banku, Cygankowa, któremu odebrano 50.000 rubli, innym pasażerom zabrano około 2000 rubli. Cała ta operacya, licząc z posiłkiem rabusiów w bufecie okrętowym, trwała około 2 godziny.

Następnie bandyci ciągle pod grozą rewolwerów, zamknęli publiczność i załogę w jednej sali i po wymianie sygnałów ze swymi towarzyszami na pobrzeżu Pieriesyp', spuścili dwie łódki na wodę i odbiwszy od statku, szybko zniknęli w ciemnościach nocy.

Kapitan z załogą po jakimś czasie oswobodzili się z zamknięcia i zapaliwszy pod kotłem, z trudem doprowadzili statek do Odesy. Wezwano policyę morską i miejską, która ruszyła na poszukiwanie śmiałych napastników, jak dotychczas napróżno, tylko łódki, wzięte z „Zofii", znaleziono na pobrzeżu.

Z anegdot Marka Twaina. Podczas bitwy żołnierz spostrzega jednego z kolegów, powalonego na ziemię.

— Granat urwał mi nogę. Proszę cię kolego, zanieś mnie do ambulansu.

— Chętnie — odpowiada żołnierz i zabiera rannego na plecy. Granaty i kule padają dalej jak grad, a jeden z pocisków urywa głowę rannemu, czego jednak żołnierz nie widzi.

Nadchodzi oficer.

— Co ty wyprawiasz! To nie pora do zabierania trupów.

— Panie kapitanie, to nie trup. To ranny, który ma nogę urwaną.

— Nogę? Cóż znowu! Przecież mu głowy brak!

Żołnierz składa na ziemię swój ciężar, spogląda ze zdziwieniem i woła:

— Popatrzcie się! Doprawdy głowy mu brak!... A on mi mówił, że to była noga!

Borbifaksy w mundurach. W Perpignan odbyły się wczoraj niezwykłe wybryki żołnierskie. 50 żołnierzy 24-go puł-

ku kolonialnego rozpoczęło sprzeczkę z cywilistami. Jeden z cywilistów zaczął strzelać z rewolweru. Na to rozwścieklení żołnierze pogonili do koszar i wezwali kolegów swoich, aby się wraz z nimi uzbroili. Następnie opuścili koszary w liczbie około 300 z najeżonymi bagnetami, żandarmi i wachmistrze nadaremnie powstrzymać ich usiłowali.

Mieszkańcy przerażeni pochowali się w domach. Żołnierze powybijali okna kawiarni, do której schronili się ich przeciwnicy. Dopiero silny oddział żandarmeryi i policyi przywrócił spokój.

Bandyci na parowcu. Wieczór z 17. na 18. b. m., na Wołdze, na pokładzie parowca „Lubinów" w drodze z Permy, dwunastu uzbrojonych rabusiów zabiło dwu żołnierzy i komisarza policyjnego, a kapitana i 2 podróżnych poraniło. Bomba wrzucona do maszyny parowca, zniszczyła ją, wskutek czego statek stanął. Rabusie udali się do przedziału pocztowego, rozbroili urzędników pocztowych i zrabowawszy 35.000 rubli, umknęli na łodzi.

Maille jest waryat! Policya stwierdziła, że Maille, który rzekomo wykonać chciał zamach na prezydenta Rzeczypospolitej, jest pospolitym pijakiem, który — jak jego rodzina opowiada — oddawał się nałogowo alkoholizmowi. Od kilku lat znikł zupełnie, a krewni jego myśleli, że znajduje się w domu obłąkanych. Przez dłuższy czas miał on zajęcie na jachcie ks. Orleanu, z powodu jednak pijaństwa, wydalony został ze służby.

Co kosztuje proces w Ameryce? Matka młodego milionera Thawa, oskarżonego o zamordowanie byłego kochanka swej żony, sprzedała swoje akcye za $9^1/_2$ miliona koron, celem zebrania funduszów na koszta ponownej rozprawy, która rozpisaną została na październik b. r. Pierwsza rozprawa, która nie doprowadziła do żadnego wyniku, pochłonęła miliony. Obrońcy Thawa chcieli z niego zrobić waryata, nie udało im się jednak, gdyż według orzeczenia przesłuchanych podczas rozprawy psychiatrów, jest on zdrów na umyśle.

Najlepszy pojedynek. Z Nagyvaradu na Węgrzech donoszą do pism wiedeńskich. W tutejszej „Café Royal", do siedzącego przy stoliku dziennikarza Kornela Hovanyi, przystąpił poseł do węgierskiego parlamentu dr. Ludwik Halas i począł okładać go laską. W odpowiedzi na to, Hovanyi wyciągnął z kieszeni harap na psy i rewanżując się, śmigać nim począł po twarzy i głowie posła. Dopiero po kilku minutach takiego „pojedynku", udało się obecnym w kawiarni gościom i służbie rozdzielić walczących.

Zawalenie się wieży kościelnej. Straszny wypadek zdarzył się dnia 13. b. m. w kolonii niemieckiej Augustendorf (na Bukowinie). Budowano tam kościół, który był już prawie na ukończeniu, robotnicy pracowali jeszcze około wieży. W krytycznym dniu, w samo południe, mieszkańcy kolonii usłyszeli straszny huk. Cała wieża runęła i przysypała gruzami 16 robotników. Przerażeni koloniści, którzy zbiegli się z całej wsi, wydobyli z pod gruzów jednego zabitego, ośmiu ciężko rannych i 7 lżej. Przyczyną zawalenia się wieży była ostatnia ulewa, a głównie wadliwa budowa kościoła. Pod fundamentami kościoła utworzyło się formalne jezioro.

Moskiewscy kolejarze. Jeszcze nie zostało ukończone śledztwo w sprawie wypadku, zaszłego w wagonie pociągu kolei Mikołajewskiej, dążącego z Moskwy do Petersburga, jeszcze władza sądowa nie zdążyła pociągnąć do odpowiedzialności urzędników kolei, winnych dokonania wstrętnego gwałtu, a już — jak donosi *Ruś* — wydarzył się nowy, jeszcze bardziej zwierzęcy fakt z tej dziedziny. I tutaj wypadek zaszedł między funkcyonaryuszami kolejowymi a bezbronną kobietą. Dwaj konduktorzy na linii kolei Południowo-Zachodnich, spotkawszy na stacyi młodą dziewczynę wiejską, oczekującą na pociąg osobowy, zaproponowali jej jazdę w pociągu towarowym, na co ta się nieopatrznie zgodziła. Konduktorzy, gdy pociąg ruszył, poczęli znęcać się nad dziewczyną, a później usiłowali ją wyrzucić z pociągu pod koła. Dziewczę broniło się rozpaczliwie, ale nie zdołało oprzeć się brutalnej przemocy dwóch drabów. Zawisnąwszy nad torem kolejowym, dziewczę błagając litości, chwyciło konwulsyjnie za stopień wagonu. Widząc to konduktorzy, poczęli obcasami bić po rękach nieszczęśliwą, która wreszcie upadła z pociągu. Upadek nie był śmiertelny, dziewczyna ocalała, znaleziono ją, przyprowadzono do przytomności, winowajców aresztowano. *Ruś* zaznacza, iż stało się to na kolei, której naczelnikiem jest były minister dróg i komunikacyi Niemiaszajew. Jeżeli na głównych i bardziej uporządkowanych kolejach urzędnicy dopuszczają się takich przestępstw, czego może oczekiwać pasażer na kolejach oddalonych bardziej?

O skradzioną kartaczownicę. W roku zeszłym podczas buntu w Libawie ukradziono kartaczówkę wojskową, której do tej pory, mimo poszukiwań, nie znaleziono. Dopiero w ostatnich dniach naczelnik tajnej policyi w Rydze wraz z kilku ajentami, przebrawszy się za robotników, udali się do Libawy i tam, udając rewolucyonistów, zyskali zaufanie wśród żołnierzy artyleryi fortecznej.

Żołnierze udzielili im informacyi, co do tajnego związku wojskowego, a zarazem wskazali miejsce, gdzie znajdują się poszczególne części owej kartaczówki zakopane w ziemię.

Ajenci wytłómaczyli żołnierzom, że teraz na cele rewolucyjne kartaczówka, oraz amunicya będą potrzebne, wykopali ukryte części kartaczówki i naboje z ziemi i zawieźli je z powrotem do Rygi — przekradłszy się przez straże forteczne zupełnie niespostrzeżenie. W Libawie zarządzono wiele aresztowań.

TELEGRAMY.

Życzenia i skargi ludowców.

Wiedeń. „Poln. Corr." donosi, że prezydyum polskiej partyi ludowej, złożone z pp. Stapińskiego, Bojki, Ruebenbauera i Olszewskiego, było wczoraj na audyencyi u prezydenta gabinetu br. Becka i przedłożyło mu memoryał, zawierający polityczne życzenia i skargi tego stronnictwa. Br. Beck konferował z deputacyą w sprawie szeregu kwestyj krajowych i przyjął memoryał z uwagą, że szczegółowo go zbada i po feryach zaprosi prezydum stronnictwa ponownie na konferencyę.

Miły syonista.

Wiedeń. P. Gabel zażądał dziś w parlamencie uznania żargonu żydowskiego za mowę państwową, twierdząc, że żydzi galicyjscy i bukowińscy przeważnie tylko tym żargonem się posługują. (Żargon żydowski jako język uznany przez państwo zabroniony został dekretami nadwornymi z 22. października 1814 i dekretem nadwornego trybunału z 19. lutego 1846. Żądanie syonisty Gabla, aby żargon ten uznany został za *Staatssprache*, jest nieskończenie głupie i bezczelne).

Strejk górników.

Nowy York. Strejk górników w Minnesota, który trwa już 8 dni, przybiera wielkie rozmiary. W całym okręgu przemysł zupełnie spoczywa. Włosi, Węgrzy i Finlandczycy, którzy tu przeważnie pracują, opuszczają tłumnie kraj i wracają do Europy.

Przewrót w Korei.

Seul. Słychać, że margr. Ito przedłożył rządowi koreańskiemu propozycye japońskie, które następnie przedłożono nowemu cesarzowi. Propozycye te nie naruszają bezpieczeństwa tronu, ale pozatem stanowią prawdziwy przewrót stosunków. Do Czemulpo przybyły 3 japońskie okręty wojenne. Wczoraj popołudniu aresztowano wielu urzędników dworskich. Spodziewają się od nich dowiedzieć się o rozmaitych zamiarach i intrygach byłego cesarza.

Dżuma i cholera.

Odessa. Zmarł tu na dżumę posługacz szpitalny zajęty przy chorym majtku ze statku Cesarzewicz.

Samara. Zaszły tu cztery wypadki cholery, z tych 3 śmiertelne.

Polscy zbrodniarze i hochstaplerzy w Ameryce.

(Dokończenie)

Przez okienko od kuchni wyglądał baron sowiemi oczyma. Usłyszawszy rozkaz, rozjaśnił twarz pijacką.

— Ha, ha, *by Jove!* — śmiał się Żarski, odgarniając potężnemi, spracowanemi rękoma bujne, płowe wąsy, gdy Srebrowicz opowiedział mu żart jakiś i wycyganił z miejsca całoroczną prenumeratę za *Żabę*.

Żukowi żal ścisnął serce. I on mógłby zarobić 75 centów na prenumeracie *Błysku*, którego był agentem, nieśmiał jednak narzucać się gościowi. Reszta szlachty, rozstawiona grupami, rozmawiała głośno, rzucając ukradkiem spojrzenia ku kuchni, rychło-li zjawi się Wielewicz.

Nareszcie ukazał się, niosąc na tacy pudełka sardynek, puszki konserw, stos wędlin, ser, chleb, masło. Za nim sunął baron z butelkami whisky. Niebawem zjawiły się też całe szeregi butelek piwa, kieliszki, szklanki, talerze.

— Wszystko już na stole, siadajmy! — wyrwał się Bober, któremu ślinka do ust ciekła na widok tylu smakołyków.

— *All right* — potwierdził Żarski, a widząc, że Wielewicz zabiera się do nalewania wódki w kieliszki, zaprotestował:

— Po polsku, po polsku, jednym kieliszkiem, jak słońce idzie!

I poszła butelka koleją, jak słońce idzie.

Przy przepierzeniu kuchennem baron, cały drżący, śledził pijących okiem łaknącem.

Już strzelały korki, dzwoniły noże i widelce, wybuchały wyrazy i zdania. Gwar zmienił się w huczek, huczek w śmiechy i krzyki. Napełnione żołądki mówiły:

— Chociem ja ci żaden żołnierz, nie wyleje se za kołnierz! — rymował do pełnego kieliszka podchmielony Bober.

— Ale ciebie wyleją, gdy się spijesz — dogadywał złośliwie Srebrowicz.

Tracki, co to z Warszawy do Wiednia doróżką jeździł, spoglądał na stół ponuro, bo przy napiciu napadała go melancholia.

A butelki krążyły i krążyły. Żarski, gospodarz szczery, naglił do jedzenia i napitku.

— Jakżem rad, jakżem rad, że wśród was jestem. Pijcie, proszę, *by Jove*, i gadajcie po polsku, gadajcie. Jak mi Bóg miły, stęskniłem się. Kiedy powiadam: pić — to pić!

Wzmagała się wrzawa. Alkohol robił swoje. Każdy mówił i każdy chciał, aby go słuchano.

Tracki wpatrywał się uporczywie w obrus poplamiony i monologował:

— Nic — tylko śmierć. Był szampan — dzisiaj piwsko. Były konie — dzisiaj podarte podeszwy. Był szyk — dzisiaj nędza. Nic — tylko śmierć. Trucizna, rewolwer, woda, sznur. Sznur najlepszy! — wrzasnął i huknął w stół wątłą, kościstą ręką, jak gdyby przekonywał przeciwnika, odradzającego mu ten rodzaj śmierci.

— Weź pan sznur od cukru, będziesz miał śmierć słodką — wtrącił Kotwicz.

— Tracki spojrzał błędnym wzrokiem na mówiącego.

— Tu cukru w głowach nie sprzedają — odparł głosem grobowym.

Wielki społecznik Grzelski powstał z krzesła, włożył jedną rękę do kieszeni spodni, drugą wyciągnął przed siebie i wpatrzony w ścianę przeciwległą, deklamował ochryple:

„Sułtanko moja! Gwiazdo haremu!
Peri! Podobna kwiatu złotemu,
Co w siódmym raju zakwita,
Jakaż to chmura przeszła nad tobą,
Że blask twych oczu zaćmił żałobą?“ —
Korny niewolnik twój pyta.

Dokoła gwar panował szalony, każdy mówił dla siebie, ale Grzelski nie zważał na to. I on, pod wpływem alkoholu, odżywił w sobie jakieś wspomnienia i napawał się dźwiękiem słów własnych.

Z poza warg sinych, cieńkich, rozciągniętych i przywartych do szczęk, jak u mumii, sterczały długie, rzadkie zęby, wzrok nieprzytomny utkwił w ścianie, wyciągnięta ręka skurczyła się w pięść.

Słowa płatały mu się w ustach, opuszczał i przekręcał wiersze, ale drobnostki takie nie wyprowadzały go z równowagi.

— Przedstawiam panom osobliwość, wprost z Egiptu sprowadzoną. Mumię wielkiego faraona Ramzesa II., z grobów królewskich, w okolicy Teb wydobytą. — Patrzcie i podziwiajcie okaz niezwykły, któregoby i Barnum nam pozazdrościł — błaznował Srebrowicz, przybierając postawę impresarya figur mechanicznych i wskazując nożem na Grzelskiego.

— Chybaby z tamtego świata pozazdrościł nam Barnum Grzelskiego! — zawołał Tracki.

— Nie umarł w sercach naszych człowiek, który rzucił wielkie słowo: *People like to be humbuged!*[1]) — odciął się Srebrowicz.

— Przepraszam — wtrącił Żuk — już przed tysiącami lat istniało przysłowie: *Mundus vult decipi, ergo decipiatur.*[2])

[1]) Świat pragnie by go brano na kawał.
[2]) Świat pragnie być oszukiwanym, więc niech będzie oszukiwany.

Lecz Grzelski był głuchy i ślepy na wszystko. Rycząc niemal i zgrzytając zębami, wygłaszał ostatnią strofę:

„Omarze! — branka przerywa grecka —
Myśl moja nie jest zachceniem dziecka!“ —
I wzniosła oczy płonące.
I lwicą była z tem okiem w blasku:
„Baszo, twój kindżał chcę mieć z Damaszku,
Na nim twe serce drgające!“

krzyknął, zamilkł i trwał tak przez chwilę. Wreszcie ocknął się, pociągnął okiem wzdłuż stołu i zaanonsował:

— To — Kornela Ujejskiego.

Odpowiedzi nie było. Biesiadnicy tyle słyszeli z jego deklamacyi, co on z ich rozmów.

Usiadł.

Żuk, aczkolwiek dobrze już podcięty, a może właśnie dlatego, zdołał nareszcie wydobyć od Żarskiego dwa dolary, na prenumeratę *Błysku* i z uciechy spijał wciąż nowe toasty; z drugiej strony Fiedler przymawiał się o pożyczkę 10 dolarów „do jutra“; naprzeciwko Tracki opowiadał eskapadę miłosną z bogatą Amerykanką Bobrowi i Kruckiemu, którzy, rozłożywszy po chłopsku szeroko łokcie na stole, słuchali go z tajoną zazdrością, przymykając oczy zamglone.

Nagle powstał Kotwicz.

Od dłuższego już czasu siedział zamyślony, kiwał głową, wybijał takt palcami na stole, i snać przemogło go uczucie, skoro powstał tak nagle, wstrząsnął czupryną, pogładził czarną brodę i zaśpiewał pięknym głosem barytonowym:

Więc pijmy, więc pijmy
Za zdrowie miłości....

I stała się rzecz dziwna. Dźwięki starej, ogranej przez wszystkio katarynki aryi lały się po zakopconej izbie potokiem tęczowym uczucia tak szczerego, tak głębokiego, że pod ich urokiem zamilkły uśmiechy i wrzaski pijackie. Zapanowała cisza. Zdawało się, że śpiewak pozostał sam jeden w restauracyi. Zdawało się, że jasność niezwykła ogarnęła ten przytułek nędzy... Pieśń pokonała nawet tę rozwydrzoną, zepsutą szlachtę nowojorską.

Tylko baron, straszny, obrosły, cuchnący brudem nie słuchał pieśni. — Zdoławszy nareszcie docisnąć się do stołu, wypróżniał wszystko, co było pod ręką: kieliszki, szklanki, butelki, nachylając sine, popękane, spragnione wargi do samego stołu, bo ręce tak mu drżały z podniecenia, że nie mógł nic w nich utrzymać.

Na dworze, świszcząc i jęczac, szalała zadymka.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI. WYDAWCA: STANISŁAW TOKARSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NAKŁADOWEJ.
Z DRUKARNI „GOŃCA POLSKIEGO", TOKARSKI & BRANDOWSKI, POD ZARZĄDEM KAROLA DOROSZYŃSKIEGO.